ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Sierpnia 1892. **Nr. 15.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

X.

Pod murowaną częścią zamku były ciemnice dla złoczyńców. W dwu izbach zamknięto, w jednej Petrka osobno, w drugiej, za grubym murem, tak, by o sobie wiedzieć nie mogli, Rogera i Światosława.

Garść słomy przegniłej i zmiętej możnemu niedawno panu służyła za posłanie. Drżał na niej z zimna, okryty jednym kożuszkiem, który wychodząc z rana przeciw Dobkowi, narzucił na siebie. Lecz był to człek od młodu do wszystkich niewygód i niewczasów nawykły, a gdy potem przyszło szczęście, nie zmienił obyczajów, nie polubił wygód, siadał na twardej ławie, spał na sianie skórą zasłanem. Na łowach często głodu zażywał, a jadło proste czeladzi było mu najmilsze. Gości przyjmował winem, drogiemi korzeniami zaprawnem, i innemi napojami i jadłem wytwornem a obfitem. Sam najczęściej pił kwas lub wodę i jadł z solą chleb czarny.

Nieraz śmiała się z niego, ramionami ruszając, żona, dziwili mu się ludzie; nie rozprawiał o tem z nimi, lecz obyczaju starego nie zmieniał.

Na dobre mu to wyszło teraz, gdy stróż dzban z wodą i chleb tylko zaschły przed nim stawił. Nie poskarżył się, nie jęknął — modlił się.

Śmierć tylekroć miał przed oczyma, że się jej teraz wcale nie lękał. Spodziewał się, że mu w ostatniej godzinie księdza nie odmówią, tego jedynie pragnął, o tem myślał.

Czasem, wspomniawszy syna ukochanego, córkę pieszczotkę, żonę, co się nieszczęścia znosić nie uczyła, zaciskał usta, gryzł wargi i było mu na sercu, jakby je kto nożem krajał. Modlił się naówczas, przypominał, jak Chrystus Bóg cierpiał w pochodzie krzyżowym, jako bolał na krzyżu, jak znosił urągowiska, plwanie, biczowanie i ostatnie męczarnie, wyrachowane z barbarzyństwem na to, aby jak najdłużej trwały i myślał: Czemże boleść ludzka przy boleściach Tego, co cierpiał za nas dobrowolnie? I lżej mu się stawało, jakby kto z ramion jego ujął brzemienia. Leżał tak całe dnie,

noce, mało wiedząc, kiedy noc była, a kiedy dzień.

W więzieniu tem nic słychać nie było, ani gwaru dnia, ani nocnej ciszy, przebiegła mysz czasem, zaszeleściało stworzenie jakieś, które dziurą z pod ziemi się dobyło i gdzieś znikło — panowała znów cisza grobowa, ciemności mogilne.

Przez pół okienka nad ziemią zawiewał wiatr, ciekła woda, wchodziły smrody i stęchlizny, ale światło dnia zaledwie zduszone się wkradało. Drugie takie same okienko, niegdyś wychodzące na podwórze, gdy później obok loch przymurowano, pozostało ciemne i patrzyło w jakieś milczące więzienie. Ale nie była to izba podziemna, w której Roger ze Światosławem siedzieli (głosy — by ich dosłyszał przynajmniej Petrek) tylko ciemnica jakaś na pół wodą zalana, gdzie gnili winowajcy na śmierć już skazani.

Tam też panowało milczenie grobów, ale czasami, rzadko dobywał się z głębin jakby ryk dzikiego zwierzęcia i jakby jęk ludzkiej mowy zdziczałej, gdy człek oszalały sam się z sobą kłóci i żre z rozpaczy.

Po tym ryku czasem słychać było jakby drzwi otworzenie i ciężkie razy zadawane kołem, po których krzyk się odzywał wściekły, oddech jakiś konającego i — milczenie.

Petrek głosu nie wydawał z początku, aż trzeciego dnia, gdy wzburzoną duszę ukołysała modlitwa i ta stała się spokojną jak morze czasu pogody, począł głośno odmawiać modły swe codzienne i pieśni nucić pobożne.

Umiał psalmów kilka, które często słyszał powtarzane przez Benedyktynów w kościele i kilka hymnów świętych; pociechę mu to sprawiało, gdy podnosząc głos, samego siebie słyszał na tym barłogu Joba, wielbiącego Pana, a błogosławiącego Mu w boleściach.

Śpiewał więc i nikt słuchać ni słyszeć się go nie zdawał. Ale jednego dnia coś zaszeleściało, zaskrobało. Drapano mur pod oknem czarnem; Petrek domyślił się, poczuł, jak tam ktoś pazurami rwał kamienie i zsuwał się, nie mogąc ich ująć, jak się czepiał i usiłował wspiąć ku górze.

Ile razy potem śpiewać poczynał, tylekroć powtarzało się to drapanie rozpaczliwe. Aż razu jednego usłyszał jęk dziwny i sapanie jakby dzikiego zwierza, a oczy podniósłszy, zobaczył w kratach okienka wystającą między dwoma pięściami, które za żelazo trzymały, głowę ogromną, kudłatą, ze ślepiami, jak u kota błyszczącemi, z nosem wklęsłym i szerokiemi usty otwartemi, z których jak kły dzika, zęby długie wyglądały.

Głowa ta patrzała nań długo z jakimś wyrazem dziwu i przerażenia, potem mruczenie z niej dobyło się niewyraźne, jakby słowa z gardła, kłębiąc się w niem, wydobyć nie mogły, nareszcie stłumiony głos począł wołać ochrypło:

— Kneź! kneź! — Bo tak zwykle Petrka lud nazywał.

Petrek przyglądał się spokojnie. Głowa ta nie była mu obcą i nieznaną, w oprawie tego okna wydawała się inną, ale przypominał sobie, że gdzieś w życiu podobną do niej widywał. I przyszedł mu na myśl miejski stróż, któremu nie jeden raz dawał zboże i szelągi, który się zwał Jarmuchą — przypomniał sobie, iż był znikł, a mówiono o nim, jakoby rodzonego zamordował brata.

Trzymając się na rękach uwieszony u kraty, więzień zdyszany powtarzał coraz głośniej:

— Kneź! kneź!

— Tyś Jarmucha! hę? — odparł Petrek, wpatrując się w niego. — Tyś Jarmucha?

Otwarły się usta szeroko i więzień rozśmiał się dziko.

— Jarmucha! kneź w więzieniu! Jarmucha! kneź? co wy, zabiliście też brata?

— Ja? nikogo! — odparł Petrek, — a żem tu, Bóg tak chciał!

Jarmucha razem śmiał się i jęczał, patrzał chciwie i napatrzeć się nie mógł. Pojąć nie umiał, jak ten, co stał tak wysoko niedawno, mógł spaść aż do tego lochu obok niego i stać mu się niedolą równym.

— Módl się, Jarmucha! — odezwał się Petrek. — Jeżeli kiedy Bóg mnie wyzwoli, będę pamiętał o tobie.

Rozśmiał się Jarmucha.

— Mnie powieszą! — zawołał z dzikim szałem — powieszą! Z tych lochów nie wyszedł nikt żywym. Kości mi już połamali kołami, gdy zakrzyczę, a jak nie krzyczeć, nie ryczeć. Dzieci moje! dzieci moje!

I ręce wysilone odpadły od kraty a Jarmucha po murze tłukąc się, stoczył się na ziemię, jęknął i już go ani widział ni słyszał Petrek dnia tego.

Nazajutrz o tej godzinie, gdy modlitwy swe zwykł był odśpiewywać, znowu drapanie się na mur przeszkodziło mu, zasapany Jarmucha dostał się do okna, ale teraz trzymał już lepiej, bo kamienie powybijał, aby się za nie mógł uchwycić nogami.

Zawołał: »kneź!« znowu i głową trząść zaczął, jedną ręką trzymając się za kratę, drugą pokazując na gardło.

Petrek tym razem nie przerywał sobie modlitwy, aż póki jej nie dokończył. Jarmucha słuchał jej, czekał, ciekawemi oczyma śledząc każdy ruch Palatyna. Twarz jego zmieniona przyoblekała się jakby litości jakiejś wyrazem.

Zaczęła się potem rozmowa z tym dzikim człekiem, który prawie mówić nie umiał.

Zapytał go Petrek, za co zabił brata, lecz gdy to rzekł i spojrzał nań, zobaczył go tak strasznie przeobrażonym, iż w sercu swem pożałował, że mu zbrodnię jego przypomniał.

Jarmucha zbladł, zaczął się trząść, oczy zagorzały, usta się okryły pianą. Nie powiedział nic więcej prócz:

— Brat! Jam go chował, karmił, odziewał, zdradził, splugawił dom! Krwią zmyć, zmyć krwią trzeba było....

I oczy sobie zakrył ręką, jęcząc:

— Brat, brat!

— Żałujże za grzech twój, aby ci go Bóg łaskaw przebaczył — rzekł Petrek.

Tego nie rozumiał Jarmucha, sapnął z gniewu jak zwierz i wnet, puściwszy kratę, na dół się zsunął. Wieczorem powrócił znowu, trzymając w ręku kawałek chleba. Zdawało mu się może, iż Petrkowi go brakło i że głodnym być musi. Pokazał mu kromkę i cisnął nią do więzienia.

— Jedz, kneź! — rzekł — ja nawykły do głodu, ja nim marł! Ty nie nie tak! Jedz! Ty mnie karmił. — I prędko spuścił się znowu.

Podjął z poszanowaniem Petrek ten dar Boży i schował go jako najdroższą ofiarę; łzy mu się w oczach kręciły.

Z duszą mężką znosił swój los Palatyn, a z każdym dniem, zamiast opadać na siłach, zyskiwał nowe, krzepił się na śmierć gotując.

Tego dnia, gdy księżna Agnieszka dała znak Dobkowi, aby wyrok spełnił, jakiemś przeczuciem pędzony Jaksa, nieważając na niebezpieczeństwo, przybył do Wrocławia, na dwór księcia Janika.

A że wytrwać nie mógł w miejscu, niepokojąc się wielce, poszedł błądzić około ogrodu, ażali mu się nie da ludzi przekupić i znaleść środek jaki uwolnienia więźnia.

Wprzódy już przyjaciele Petrka i ojcowie Benedyktyni posyłali na zwiady do grodu. Wiedzieli oni, że okno jedno ciemnicy, w której Petrek był zamknięty, wychodziło w podwórze, na którem straży nie było. Zamierzano nocą okno to wyłamać, mur wybić i sznur spuściwszy, dobyć z głębi uwięzionego.

Na Opactwie dowiedział się też Jaksa, że panią Petrkowę z córką wyprawiano na miejsce bezpieczne, ale, mało go tam znając i młodym widząc, nie powiedziano, dokąd niewiasty posłane zostały, aby się to nie wydało.

Gdy Jaksa, okrywszy się lada jaką opończą, aby poznanym nie był łatwo, wszedł z innymi ludźmi na zamek, Dobek właśnie rozogniony, nieprzytomny, rad, że dopiął swego, bo się spuścizny po Palatynie spodziewał, leciał z kilku siepaczami do więzienia.

Drzwi jego wychodziły na podwórce. Od tych sam Dobek klucze przy sobie chował, raz na dzień tylko je dając, gdy chleb i wodę dla więźniów noszono.

Otwarto wrota, Jaksa wcisnąwszy się z innymi, u muru zdala przystanął, przewidując z trwogą po liczbie oprawców, których ściągał Dobek, że się tu coś strasznego gotować musiało.

Sam Dobek zajadły jak oprawca wyglądał, biegł, spieszył się, chwytał, krzyczał, łajał, lękając się, aby książę danego nie odwołał rozkazu. Chciał go spełnić co najprędzej.

Pachołkowie, których tu Dobek znalazł pod ręką, nimby się swoich, rozproszonych na podzamczu doczekał, byli wszyscy Szlązacy, na służbie przy zamku zostający, których Marszałek nie znał, a oni tyle tylko o nim wiedzieli, że rozkazywać im miał prawo. Słuchali strwożeni, z niewielką do posłuszeństwa ochotą. Domyślali się może, iż szło o los Palatyna Petrka, który tu niedawno władał i rozkazywał, a miłowany był powszechnie, bo szczodrotą sobie serca kupował....

Gdy drzwi otwarto, Dobek począł krzyczeć, aby mu wnet wiedziono Petrka i syna jego pod strażą, zostawując w kaźni Rogera.

A że ludzie nie szli tak spiesznie, jak chciał, sam ich bijąc do ciemnicy spychał.

Pachołkowie zstąpili natychmiast, Dobek u wyjścia stał niecierpliwy czekając.

Gdy gromada ta oprawców wtargnęła nagle do więzienia, a Petrek ujrzał ich cisnących się ku sobie, sądził, że go już na stracenie prowadzić mają, obejrzał się, ażali księdza nie było.

I pokląkłszy na barłogu, modlitwę począł.

— Chwali dusza moja Pana....

Lecz długo mu tak na klęczkach nie dali pozostać siepacze, bo z góry wołając, naglił Dobek, aby go natychmiast prowadzili. Jedni więc zeszli po Światosława, drudzy pod ręce wlec zaczęli Petrka, który modlitwę swą pobożnie kończył.

Dopiero gdy w szyi ciemnicy zobaczył syna, wyrwawszy się siłą wielką tym, co go trzymali, przypadł doń, ściskając dziecię swe. Ale wnet pachołkowie ich, rękami związanych, rozerwali.

Stary Petrek, choć i na nim widne były ślady więziennych dni i nocy, w trwodze ducha spędzonych, nie tyle się odmienił co młode, pieszczone dziecię, wątlejsza istota, z której zaledwie cień pozostał. Światosław szedł słaniając się, wycieńczony głodem i zaduchą, pół żywy, jak trup wybladły.

Gdy na światło dnia wywleczono Petrka, oczy rażone blaskiem zamknąć zrazu musiał, bo odwykły od niego, znieść nie mógł po ciemnościach.

Dobek zobaczywszy go z powiekami zamrużonemi, śmiać się począł okrutnie.

— Nie zamykaj oczów! — zawołał — napatrz się na światłość dzienną, rychło nie ujrzysz już jej, bo ci twe ślepia z rozkazu pana wyrwać każę.

Jęknął Petrek i rękę mimowolnie przyłożył do czoła, a syn posłyszawszy urąganie to, zaryczawszy z żałości, chciał biedz do ojca, ale pochwycono go i wstrzymano.

Dobek niecierpliwie się miotał i wrzeszczeć począł:

— Sam tu, oprawca jaki! Jest który, coby mu ślepia wydarł!

Pachołkowie wszyscy stali niemi. Do starszego z nich przypadł Marszałek, bijąc go w plecy.

— Zaraz mi spełnić rozkaz pański! Słyszycie!

Oprawca zżymnął ramionami, bo choć nieraz spełniał podobne rozkazy, Petrka się dotknąć nie śmiał. Szanował go. Mruknął ponuro:

— Nie umiem.

— Który z was? — wołał Dobek.

Nie wystąpił żaden. Dobek z gniewu jak wściekły się rzucał, tłukąc tych, co w pobliżu stali.

— A nuże, psy paskudne! Jak sobaki was powywieszać każę... Do czegożeście się zdali, nicponie!

Wtem ponad ziemią, w wązkiem okienku, ukazała się z za kraty głowa kudłata.

Był to bratobójca Jarmucha.

Z gardła dobył mu się głos chrypliwy, niezrozumiały. Wszyscy spojrzeli na tę poczwarę dobywającą się jak z pod ziemi.

Jarmucha mrugał oczyma i trząsł się. Głosu z piersi zmęczonych dobyć nie mógł. Po chwili dopiero zaczął wołać krzykliwie:

— Ja! ja!

Dobek wpatrywał się w niego, oprawcy mierzyli pogardliwym wzrokiem. Jarmucha nalegał coraz głośniej:

— Ja! ja! panku! ja!

Dobek zakrzyczał:

— Co za licho? kto on?

— Bratobójca Jarmucha, na stryczek osądzony — odezwał się oprawca spluwając z obrzydzenia.

— Oślepisz go? wyrwiesz mu oczy! — zapytał podchodząc Dobek.

— A, ja! ja! tak! — powtórzył bełkocząc Jarmucha, który się rwał, cisnął i przylegał do kraty całą twarzą. — Życie mi daj! Oślepię ja!

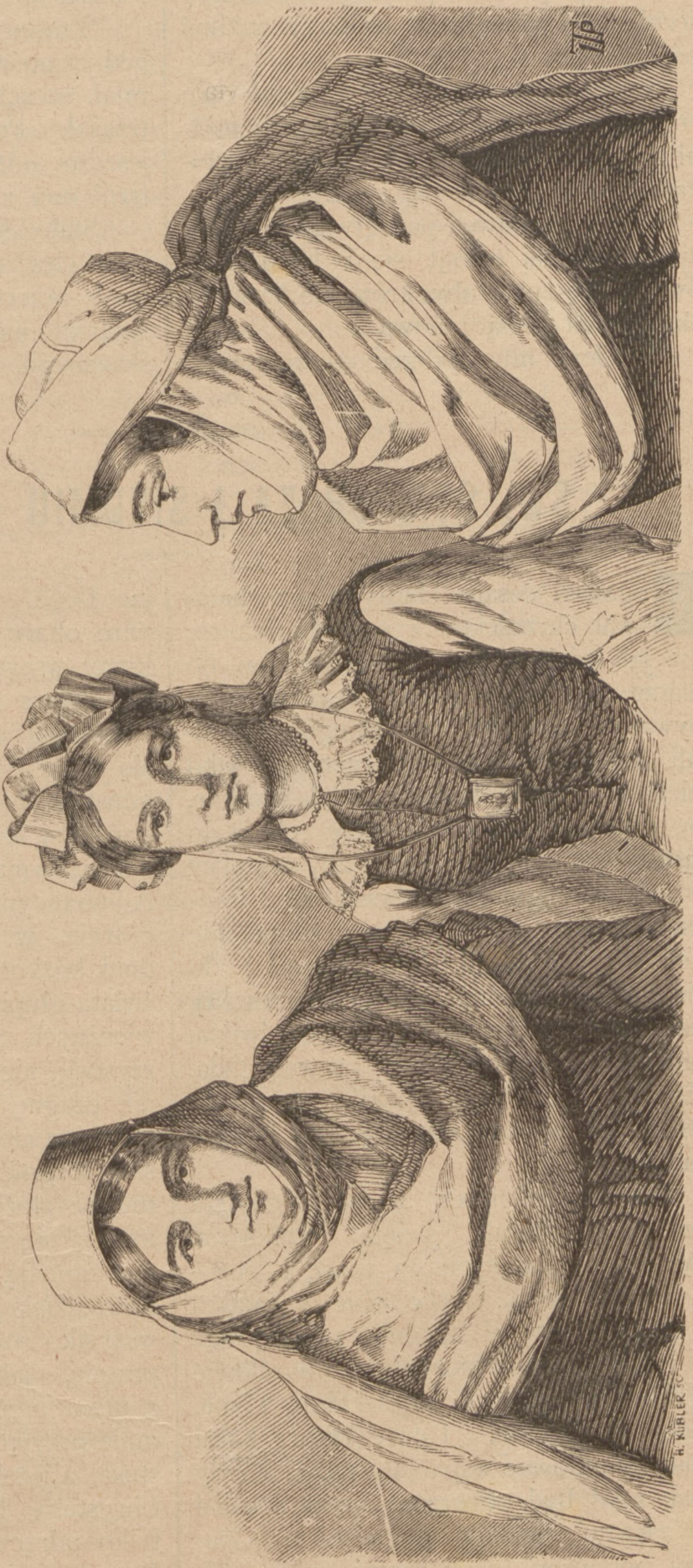
Dobek w tej chwili dałby mu był więcej, niż to liche życie, które nic już nie było warte.

— Dawaj go tu! Dawaj! — zawołał nagląc.

Światosław zakrywając oczy upadł na ziemię, zbliżała się męczeństwa chwila. Petrek stał nieporuszony, spokojny.

Natychmiast dwu pachołków zbiegło do lochu i wywlekło z niego coś zaledwie do człowieka podobnego.

Jarmucha łachmany miał tylko na sobie, gdy go pochwycono obluzganego krwią i wrzucono do ciemnicy. Pół roku już w niej gnił, odzież się popadała, ciało potłuczone ślizło od ran, kij oprawcy zostawił ślady straszne na tym pokurczonym nieforemnym szczątku człowieka, który z chciwością i pośpiechem biegł szukając już żelaza.



UBIORY KOBIECE NA ŻMUDZI. (Obacz objaśnienia rycin na str. 240).

Jeden z oprawców miał nóż ostry u pasa, oderwał mu go Jarmucha, rzemień szarpnąwszy i przykląkłszy toczyć zaczął na kamieniu z szalonym jakimś pośpiechem.

Kazano przynieść ławę i w tył ręce skrępować Petrkowi, który spokojnie poddał się rozkazom, niekiedy tylko do szlochającego obracając się syna.

Oprawcy nawet podrętwieli litością zdjęci. Dobek cofnął się o kilka kroków, bał się znać, aby krew nie trysnęła, suknię miał jasną i nową.

— Oczy mu wydrzeć — zagrzmiał — i język ten podły uciąć precz, aby nie bluzgał a milczał, psi syn! Oczy i ozór! — powtórzył.

Straszny Jarmucha, odwrócił się, jakby poświadczając, że rozkaz zrozumiał, szczękał białemi zębami głową potrząsał. Petrek u którego nóg klęczał, jeszcze nóż tocząc na kamieniu, popatrzał nań z politowaniem.

Stało się milczenie straszne, które lada chwila, jęk straszniejszy nad nie miał przerwać. Jarmucha podniósł się, spojrzał na oprawców i przybliżył do skazanego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŚW. SYMFOROZA I SIEDMIU JEJ SYNÓW.

Pogański cesarz Hadryan prześladował chrześcian z powodu ich religii, jak wielu z jego poprzedników, bo cesarze rzymscy żądali, aby wszyscy obywatele państwa rzymskiego wyznawali religią przez rząd uznaną, jako i dziś we wielu krajach rząd pragnie, aby obywatele stósowali swoję religią do rządu. Car rosyjski chce, aby wszyscy wyznawali religią moskiewską, rząd francuski pragnie, aby obywatele żadnej nie mieli wiary i religii. Od początku do dziś Kościół katolicki był prześladowany gdziekolwiek przez możnych tego świata, ponieważ Kościół możnym prawdę gada, uciśnionych broni, przypomina, że prawo boskie jest wyższe aniżeli prawo ludzkie i ludzie.

Do męczenniczek z czasu cesarza Hadryana należała święta Symforoza. Mąż jej też dał życie za wiarę i pozostawił ją wdową. Żyła sobie w zaciszu ze siedmiu swymi synami, poświęcając się tylko dobrym uczynkom, modlitwie i wychowaniu dzieci. Mieszkała w Tivoli, niedaleko Rzymu. Tamże cesarz kazał sobie wybudować wspaniały pałac. Kiedy pałac miał być otworzony, cesarz kazał się zapytać bożków pogańskich. Kapłani pogańscy, czyli raczej szatan, odpowiedzieli: »wdowa Symforoza dręczy nas codziennie, ze swymi synami wzywając Boga. Jeżeli ona ze synami złoży nam ofiary zamiast Bogu, to przyrzekamy wszystko uczynić, czego żądacie.«

Cesarz kazał przyprowadzić przed siebie pobożną rodzinę i najpierw starał się w dobry sposób namówić ją do pogaństwa i aby ofiarowali bożkom pogańskim, lecz mężna niewiasta odpowiedziała: »mąż mój Getulus i brat jego Adamancyusz wycierpieli największe męczarnie, w końcu śmierć ponieśli, a jednak bożkom ofiary nie złożyli. W oczach świata głupio działali, lecz teraz używają wiecznych radości i szczęścia w towarzystwie nieśmiertelnych, i niczego więcej nie pragnę jak tego, aby z nimi się połączyć w niebie.« »Los twój,« rzekł cesarz rozgniewany, »zależy od ciebie, albo musisz złożyć ofiarę bożkom, albo sama musisz się stać ofiarą.« »Żadne groźby nie zmienią tego, co postanowiłam,« odpowiedziała Symforoza, »dobrze sobie wszystko rozważyłam, niczego więcej nie pragnę, jak podzielić się szczęściem z mym mężem. Bożki twoje nie mogą mnie przyjąć za ofiarę; cierpię dla Chrystusa, a jeżeli zostanę ofiarowaną w imię Chrystusa Boga mego, to powiększę tylko udręczenia twoich złych duchów.« Potem zawiedziono kobietę do świątyni Herkulesa, niemiłosiernie ją zbito i powieszono na włosach; ponieważ jednak

przez cierpienia zdawała się stawać tem wytrzymalszą, uwieszono jej ciężki kamień u plecy i utopiono na gruncie rzeki. Eugeniusz, brat jej, należący do najznakomitszych obywateli miasta Tivoli, kazał ciało jej wydobyć ze rzeki i pogrzebać w pobliżu miasta.

Na drugi dzień musieli synowie Symforozy stanąć przed stolicą cesarską; lecz i u nich były wszelkie usiłowania daremne, aby ich skłonić do bałwochwalstwa. Przywiązano ich tedy do siedmiu palów, które wbito w ziemię naokoło świątyni Herkulesa, członki im wyrywano za pomocą windy, a potem przebijano ich sztyletami. Cesarz sam dawał rozkazy, jak mają być dręczeni. Pierwszemu, Kreskusowi kazał gardło przeżgać, Julianowi piersi, Nemezyuszowi serce, Primitiwusowi brzuch, Justynowi plecy, Strakteuszowi plecy, ostatniego, Eugeniusza, kazał przełupać od góry do dołu. Ciała pozostały na słupach przez noc i dopiero na drugi dzień je zdjęto i wrzucono w głęboki dół. Tam pozostały tak długo, póki Kościół nie odzyskał pokoju. Wtenczas chrześcianie wykopali ciała i złożyli każde w osobny grób.

Równie mężnie jak Symforoza pozostały we wierze święta Serapia i święta Sabina. Sabina była leciwą wdową, której mąż był wysokim urzędnikiem w Rzymie. Serapia, dziewica pochodząca z Antyochyi, mieszkała u Sabiny, a mimo młodości swej przekonała Sabinę, wielką panią, że chrześciańska religia jest prawdziwą. Obie poszły na wieś. Starosta Beryllus wykrył je i zaraz obchodził się z nimi w sposób nieludzki. Serapią zbito okrutnie i głowę jej ścięto; ponieważ Sabina była wielką panią, dano jej pokój przez pewien czas, lecz następca Beryllusa kazał ją wtrącić do więzienia i zabić.

Pomiędzy poganami znaleźli się jednak ludzie sprawiedliwsi, którzy uznali, że obchodzenie się z chrześcianami było niesprawiedliwe i przeciw prawom ówczesnym nawet. Serenius Granianus, starosta w Azyi, oświadczył otwarcie, że to ani sprawiedliwie, ani pożyteczne dla państwa, kiedy się chrześcian wydaje surowemu ludowi i kiedy ich się karze tylko za to, że się nazywają chrześcianami. Cesarz rozkazał, aby tylko wtenczas chrześcian karano, jeżeli im się dowiedzie, że coś złego uczynili. Wiele tysięcy niewinnych straciło życie, nim sobie przypomniano pierwszą regułę sprawiedliwości, aby nikogo nie karać bez winy. Wnet znowu zapomniano o tej regule, a późniejsi cesarze znowu zaczęli prześladować chrześcian bez wszelkiej winy z ich strony.

Na jubileusz „Katolika.“

I lud ten powstał! Wielkie jego hasła
Niech rozbrzmiewają w dal donośnym głosem,
Niech wiedzą wszyscy, że w nim nie zagasła
Myśl rozniecona, że nad jego losem
Opatrzność czuwa i promienne oko
W serca maluczkich zanurza głęboko.

Niech wiedzą wszyscy, że stoi na straży,
Że coraz dalsze wzrokiem mierzy koła,
Że zna swe prawa, na szalach je waży,
Sprawiedliwości coraz silniej woła,
Że w imię wiary i miłości bratniej
Do zastawianych nie chwyta się matni...

. . . .
. . . .

A Wam należy się za to tak wiele...
Ale czyż dzień ten Wam hojnie nie płaci:
Czyż srebrne z pracą mozolną wesele,
Czyż te tysiące zbudzonych współbraci,

Te znojne twarze, spracowane dłonie
Ku Wam garnących się mężów i dzieci,
Czyż nie są pięknym kwiatem w tej koronie?
Czyż nie są echem, co po kraju leci?
Czyliż nie płyną zewsząd słowa może:
W dalszych zabiegach szczęść Wam Panie Boże?

Bol. Sch.



ŚWIĘTA RODZINA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 240.)

CNOTY.

POUCZAJĄCA PRZYPOWIEŚĆ.

Ongi żyły w pewnym klasztorze pospołu przeróżne cnoty jak świątobliwe zakonnice, a Pobożność była ich ksienią. Hojność była furtyanką, Wstrzemięźliwość dozorowała w kuchni, Mądrości zadaniem była praca w roli i ogrodzie, a Oszczędność zarządzała dochodami klasztoru. Przełożoną nowicyuszek była Łagodność, a sługą wszystkich — Pokora. Z największą ochotą i z zupełnem oddaniem się słuchały i wykonywały zakonnice rozkazy ksieni. Pewnego dnia zapukał do bramy klasztornej jakiś podróżny i prosił o jałmużnę. Opowiadał on przytem siostrze furtyance o wielkiej nędzy między ludźmi i przedkładał jej, jakby to tam w świecie daleko więcej dobrego zdziałać mogła, aniżeli w ciasnych murach klasztoru.

Ksieni Pobożność umarła była dnia poprzedniego, więc siostry zgromadziły się właśnie w sali gwoli narady, kogoby teraz wybrać swą przełożoną. Wtedy to ukazała się siostra furtyanka, oznajmiła im, co jej podróżny opowiadał, i doradzała, ażeby wszystkie razem klasztor opuściły i poszły w świat, nieść pomoc cierpiącej ludzkości. Jak radziła, tak uczyniono. Zaledwie pochowano ksienią, aliści zakonnice porzuciły swój cichy, skromny przytułek i wyszły pomiędzy ludzi.

Zdążając tak wspólnie bitą drogą, spotkały biedną kobiecinę. Niosła ona na ręku małe, na pół z głodu umarłe dziecię, a skoro je ujrzała, gorąco je poprosiła o jałmużnę. Hojność, zarządzająca wspólnym majątkiem, chciała jej natychmiast darować znaczną sumę. To obruszyło Oszczędność bardzo; była ona zdania, że jeżeli już na początku tak się pieniędzmi szafować będzie, to na koniec same będą żebrać zmuszone. Mądrość przyznała jej słuszność i radziła w ogóle nie dawać prędzej jałmużny, zanim się będzie można przekonać, czy żebrzący cierpią w istocie niedostatek. Łagodność nie ważyła się zdaniu temu się sprzeciwić, a Pokora nie miała nigdy zwyczaju wyjawiać swego sądu, więc i teraz milczała. W taki sposób biedna kobieta nie otrzymała żadnej zapomogi i w cięższym jeszcze smutku powlokła się dalej. Krótko potem doszły cnoty do pewnej wsi. W drzwiach jednego z pierwszych domów ujrzały one mężczyznę, który prętem wymierzał karę swemu synkowi za jakieś przewinienie, nie zważając wcale na jego krzyki. Natychmiast pospieszyła Łagodność do niego, prosząc go, aby zaprzestał bicia, i pouczając go, że dobrocią daleko więcej zrobić można, mianowicie u dziecka. Surowość, która w klasztorze doglądała porządku, natomiast była zdania, że nie należy żałować rózgi u dzieci, — tak więc mężczyzna znowu się zabrał do wymierzania kary, mimo że Mądrość radziła, ażeby we wszystkiem zachować miarę. Idąc dalej naradzały się cnoty, gdzieby przenocować i dokądby się następnie udać należało. Wtedy odezwała się Mądrość: »Drogie siostry, już dwukrotnie przekonałyście się, że każda z nas zapatruje się na wszystko zupełnie odrębnie. Jeżeli więc nadal pozostaniemy razem, natenczas wciąż się tylko spierać będziemy, a ludziom z tego żaden nie urośnie pożytek. Każda z osobna może więcej zdziałać. Moja rada zatem, żebyśmy się rozłączyły. Po upływie roku zejdziemy się znowu i wtedy to sobie nawzajem opowiemy, czegośmy w tym czasie doznały i cośmy zrobiły.« Rada ta wydawała się wszystkim bardzo słuszną. Pożegnawszy się wzajemnie, każda udała się w swą drogę z zamiarem przysłużenia się ludzkości na własną rękę.

Hojność poszła do najbliższego zamku, którego właściciel, zawołany rycerz, uchodził za najbogatszego człowieka w kraju. Właśnie co dopiero pocho-

wano go w grobie, więc pozostała wdowa dziękowała Bogu, że jej zesłał towarzyszkę. Wnet Hojność opanowała całym zamkiem, a wtedy na zamku poczęło się głośne i wesołe życie. Codziennie były tam stoły nakryte dla wszystkich i nie tylko, że wszystkich ubogich z blizka karmiono tam i pojono, ale nawet każdy podróżny, czy pan, czy chłopek, znajdował gościnne przyjęcie. Chłopów i dzierżawców zwolniono od podatków, więc wszystko żyło hucznie i buńczucznie. Atoli jak woda i w najgłębszej studni się wyczerpnie, jeżeli nie ma wciąż nowego dopływu, tak przebrał się i majątek bogatej wdowy. Za późno dopiero spostrzegła, że należy się ograniczyć, i wtedy odprawiła nierozsądną doradczynią, a równocześnie kazała chłopom ogłosić, iż odtąd trzeba będzie znowu płacić podatki i że dotychczasowe życie wystawne na zamku raz na zawsze się skończyło. Chłopi jednak, którzy przez tak długo dobrze żyli i nic nie robili, nie chcieli rozkazu usłuchać, udali się gromadą na zamek, zajęli go, splondrowali, a na dobitkę złego jeszcze spalili. Wdowa, utraciwszy wszystko, jedynie z życiem uciekła do klasztoru, który jej mąż za życia ufundował, i tam, zerwawszy zupełnie ze światem, ostatnie dni życia w służbie Bożej przepędziła.

Nie lepiej jak Hojności poszło Pracowitości. Zaszła ona do ubogiego rólnika, który w pocie czoła pracować musiał na wyżywienie swojej familii. Wraz z Pracowitością weszło szczęście pod strzechę chaty. Zarobek zwiększał się z każdym dniem, rola dawała teraz dwa razy tyle, co przedtem, i tak pomału ubogi rólnik wyrósł na majętnego gospodarza. Wtenczas sobie pomyślał: »teraz pokaż sąsiadom, co to sobie pozwolić możesz.« Poszedł tedy do gościńca raz i drugi, potem coraz częściej i wreszcie, zanim się spostrzegł, stał się nałogowym pijakiem. W domu nie chciało mu się teraz pracować, kłócił się z żoną i dziećmi i byłby niezawodnie znowu powrócił do tak ubogiego stanu, w jakim był początkowo, gdyby go Pracowitość nie była opuściła w sam czas, tak że się już na nią nie mógł spuszczać i znowu pracować musiał z całych sił swoich, ale też zarazem więcej w domu przebywał i żył lepiej.

Pokora i Łagodność bez Mądrości, Oszczędności i reszty cnót nie mogły same w świecie także niczego dokonać. Wszędzie zbywano je niczem i odsyłano jako niepraktyczne i niepożyteczne, tak że z ledwością o żebranym chlebie wyżyć zdołały aż do czasu, kiedy się z siostrami znowu spotkać miały, aby sobie swe przygody opowiedzieć. I tak poszło wszystkim. Pod dozorem i kierownictwem energicznej przodowniczki Pobożności, rozsądnej i praktycznej, było działanie ich wszystkich razem pożyteczne; każda dla siebie z osobna wystawiona była na największe niebezpieczeństwo. Tylko Mądrość, stawszy się towarzyszką pewnej szlachetnej niewiasty, żyjącej na osobności wśród świata, pielęgnującej chorych, zastępującej matkę biednym sierotom, krótko mówiąc, opiekunki i pocieszycielki od wszystkich opuszczonej i cierpiącej ludzkości, umiała być pożyteczną. Do niej też podążyły jej siostrzyce, kiedy nadszedł umówiony czas, w którym się wszystkie zejść miały. Radość czcigodnej matrony była nie do opisania, kiedy ujrzała w swych progach zupełnie niespodziewanie naraz tyle chętnych istót do przeprowadzenia jej szlachetnych zamysłów. Nabyła więc bez namysłu wielki dom, przeznaczyła w nim każdej osobny dział pracy, a że przekonały się na sobie, iż każda z osobna niczego nie zdoła, przeto z największą ochotą zdały się na jej wolę, jej oddały kierownictwo i jej ślubowały zupełne posłuszeństwo. W taki sposób powstał zakon »Sióstr Miłosierdzia,« do dziś dnia kwitnący, a chceszli się przekonać naocznie o błogiem działaniu zjednoczonych cnót, to udaj się do ich klasztoru, a ze zdumieniem i uwielbieniem zobaczysz, jak może wielkość istnieć w odosobnieniu.

CEDRY LIBANU.

W piśmie świętem czytamy często o cedrach Libanu. Cedrowe drzewo jest w piśmie świętem obrazem wszystkiego, co wspaniałe, ozdobne, ku niebu się wznoszące. Król Dawid wybudował sobie pałac z drzewa cedrowego, Salomon sprowadzał drzewo cedrowe z gór Libanu do budowy świątyni Jerozolimskiej. Po zburzeniu pierwszej świątyni użyto cedrowego drzewa do budowy nowej świątyni. Do masztów okrętowych brano cedry. Poganie z tego drzewa wyrabiali bożków swych.

Góry Libanon leżą na północ Palestyny, w Syryi, nie zbyt daleko od morza. Gór są dwa pasma, jedno się nazywa Libanon, drugie Antilibanon, pomiędzy dwoma pasmami leży dolina Bekaa, a w niej miasto Baalbek. Tuztąd prowadzi droga do sławnego miasta Tripolis. Tą drogą idąc w górę, dochodzi się do góry cedrowej. Przepyszny widok przedstawia się tuztąd oczom wędrowca. Na wschód widzisz Antilibanon, pasmo gór w jednym długim szeregu stojących, a przed nim dolina Bekaa. Na południe widać początek doliny Jordanu; ku zachodowi i północy wznoszą się wysokie, pojedyńcze wierzchołki gór Libanu, wysokie, ponieważ 2600—3212 metrów nad morzem leżące. Na zachód góry zniżają się do morza śródziemnego.

Drzewa cedrowe są rozsiane po górach Libanu, lecz tu stoi około 300 na jednem miejscu i są największe, najstarsze. Wysokie są na 24 metry, a grube u dołu 8—10 metrów, lecz nie rosną w jednym pniu, tylko nad ziemią dzielą się na 3 lub 4 osobne drzewa. Dziesięć z cedrów tu rosnących niezawodnie pamięta czasy króla Salomona. Szkoda wielka, że las ten cedrowy nie ma żadnej opieki. Ludzie biorą drzewo na opał, kozy obgryzają młode drzewka. Jak wszędzie w krajach pod panowaniem tureckiem, tak i tu zaniedbanie widać i nieporządek. Dawnymi czasy góry Libanon były niezawodnie wszędzie porosłe cedrami, pismo święte sławi bowiem cedry jako największą ozdobę gór.

Drzewo cedrowe jest białawe, dość miękkie i pachnące. Cedr jest najwięcej podobien do naszego modrzewia, ma też igliwie zielone rosnące w szypułkach, zachowuje takowe jednak i przez zimę. Drzewo cedrowe i w tem jest odmienne od modrzewia, że rośnie szeroko, jakoby parasol. Gałęzie są potężnie grube, a szyszki tak wielkie, jak jaja gęsie. Więcej cedrów aniżeli w górach Libanon rośnie za miastem Tarsus, gdzie się rodził święty Paweł. Tu jednak cedry rosną razem z jodłami.

Drzewa podobne całkiem do cedrów znajdują się w górach Himalajskich, w głębi Azyi. Tu są cedry jeszcze raz tak wielkie, jak w górach Libanon, dochodzą do 50 metrów wysokości. Natomiast są daleko mniejsze cedry rosnące w Afryce północnej w górach Atlasu.

Próbowano i w Europie sadzić cedry Libanu, i udało się. W Paryżu wychodowano cedry z nasienia w sławnym ogrodzie roślinnym, gdzie znajdują się drzewa i rośliny z całego świata. W Szwajcaryi pod Genewą rośnie cedr, który doszedł do wysokości 37 metrów. Również w Szwajcaryi pod miastem Lausanne rosną piękne cedry. Uznano, że cedry łatwoby rosły w górach we Francyi i w środkowych Niemczech. Lecz dotąd nikt się tam nie zajął sadzeniem i pielęgnowaniem tych pięknych drzew.

Mieszkańcy Libanu uważają lasek cedrowy i strumień mimo szumiący jako święte. Na widok cedrów przypomina się im pismo święte, sławiące cedry, i król Salomon i świątynia jerozolimska, do której budowy służyły cedry. Mieszkańcy Libanu nazywają się Maronitami i są po większej części katolikami. Patryarcha, czyli najwyższy biskup tychże Maronitów nakładał kościelne kary na tych, którzy nie szanowali świętych drzew, którzy je nacinali. Czasem nawet klą-

twa kościelna spotykała takich złoczyńców. Kiedy kilku tureckich pasterzy bezbożną ręką ścięli kilka drzew, to w tej chwili padły śmiercią ich trzody, jak sobie opowiadają mieszkańcy Libanu. Dawniej obchodzili Maronici dzień Wniebowstąpienia Pańskiego w lasku cedrowym. Patryarcha sam odprawiał mszą świętą na ołtarzu z kamieni. Opieka patryarchy nad drzewami cedrowemi i nabożeństwo po części się utrzymały. Bez tego możeby już nie było śladów cedrów. Na miejscu ołtarza z kamieni wystawiono kaplicę, a latem mieszka kilku Maronitów obok kaplicy, nawet mnich znajdował się pomiędzy nimi. Ludzie ci są zarazem pomocą licznych podróżnych, którzy zwiedzając Palestynę, zwykle i do drzew cedrowych pielgrzymują.

GRAF HABSBURG.

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach,
Namaszczalna cesarska biesiada.
Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.
Falcgraf reński na złocie mu kraje,
Puhar z winem król czeski podaje;
Wszyscy siedmiu wyborcy cesarza,
Jak w krąg słońca chód płanet niebieskich,
W złotych mitrach, w purpurach królewskich,
Stoją kołem przy tronie mocarza.

I z dziedzińców, z krużganków pałacu,
Z dźwiękiem muzyk, jak grom nieprzerwany,
Okrzyk tłumów skupionych na placu
Bije echem o okna i ściany:
Bo przeminął czas klęsk i swawoli,
Pychy możnych, a ludu niewoli,
Pan i sędzia jest znowu na ziemi.
Nie śmie szaleć bezkarnie gwałt zbrojny,
Nie drży słaby, zaufał spokojny
Że jest moc i opieka nad niemi.

Cesarz puhar do góry wzniósł złoty,
I powłócząc w krąg okiem radości:
»Nic tu nie brak do naszej ochoty
W pośród takich i uczty i gości.
Lecz nie widzę śpiewaka — minstrela,
Pieśń natchniona jest duszą wesela,
I duch wyższy na serce z niej wionie:
Cześć mą dla niej wyssałem już z mlekiem,
A com czuł, będąc prostym człowiekiem,
Czuć i uczcić potrafię na tronie!«

Ledwie skończył, z za tłumu rycerzy
Wyszedł mąż, z białym włosem na skroni,
W długiej, nakształt zakonnej odzieży,
Złotą arfę trzymając we dłoni.
»W strónach arfy jest cały świat ducha,
W miarę tego, kto śpiewa, kto słucha,
Jak pieśń wieszczą pojmuje, lub stwarza;
Wiem, co duszę podnosi i krzepi.
Lecz ty, Panie, sam powiedz najlepiej,
Co jest godne słuchacza — cesarza?«

Na to cesarz z łagodnem wejrzeniem:
»O, na taką się pychę nie ważę!
Wyższy pan rządzi wieszcza natchnieniem,
Co mu samo i cel swój pokaże.
Bo jak wicher na morskim rozlewie
Zkąd i dokąd ma zawiać, nikt nie wie,
Jako woda z swych źródeł podziemnych:
Tak pieśń wieszcza wynika mu z duszy,
Aż ją porwie za sobą i wzruszy
Czucia śpiące w jej głębiach tajemnych.

Z oczu starca jak światło wypadło
I strón dźwięki zmięszały się z słowy:
»Przez szwajcarską dolinę zapadłą
Możny graf jechał konno na łowy.
Dzielny koń niecierpliwym poskokiem
Sadził w czwał ponad wzdętym potokiem
Na dźwięk trąbki już grzmiącej śród boru.
Wtem głos dzwonka się rozlał rozłogiem:
Był to kapłan, co szedł z Panem Bogiem,
Poprzedzany przez chłopię od chóru.

Rycerz z wiarą i czcią chrześciańską
Skoczył z konia i ugiął kolano,
Wielbiąc ciało i świętą krew Pańską,
Dla zbawienia naszego wylaną.
Ksiądz tymczasem nad brzegiem strumienia
Zrzucał obów i zwierzchnie odzienia,
By w bród łatwiej mógł na brzeg przejść drugi.
Bo most woda zerwała przed dobą,
A tam grzesznik złożony chorobą
Czekał jego ostatniej posługi.

A wtem rycerz postąpił ku niemu,
Sam mu konia za cugle prowadzi,
Zmusza na nim nieść pomoc choremu,
Trzyma strzemię, na siodło go sadzi,
A sam pieszo zapuszcza się dalej.
Kapłan przebył bezpiecznie nurt fali,
Błogosławiąc rycerza po drodze.
I nazajutrz o wschodzie jutrzenki
Do bram zamku z winnemi podzięki
Odwiódł konia, trzymając za wodze.



GRAF HABSBURG. (Obacz wiersz na str. 236.)

Ale rycerz powitał go słowy:
»Strzeż mię Boże! bym kiedy dla siebie
Użył konia na boje lub łowy,
Co niósł Zbawcę i Pana na niebie.
Gdy być twoją własnością nie może,
Niech zostanie przy waszym klasztorze
Na pobożne zakonu posługi.
Bogu memu w ofierze go składam,
Bo od niego, co tylko posiadam,
Dzierżę z łaski, nie z własnej zasługi.«

»»Niechże Pan, który widzi w skrytości,
Dar twój tobie odpłaci w swej porze!
Niech cię sławi i tu i w wieczności,
Jakeś ty mu hołd oddał w pokorze.
Tyś graf możny w szwajcarskiej krainie,
Dom twój z cnót i z hojności w niej słynie,
Sześć cór kwitnie w nim pięknych i skromnych.
»»Niechże każda«« rzekł kapłan w natchnie- [niu,
»»Wniesie berło twojemu plemieniu,
Ród twój wsławi u wieków potomnych!««

Cesarz słuchał i dumał głęboko,
Jakby dawne obudzał wspomnienie.
Wtem na starca iskrzące wzniósł oko
I z ócz jego słów pojął znaczenie.
Był to kapłan spotkany przed laty...
Cesarz krajem obrzędnej swej szaty
Zakrył śpiesznie łez rzewnych potoki.
Lecz pojęto w orszaku cesarskim,
Że to on był tym grafem szwajcarskim,
I niebieskie wielbiono wyroki.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Zmienił się wiatr znowu i wiał tak, że podróżni dolecieli do tej samej wyspy, na której przeszłą noc przepędzili. Zatrzymali się tu na noc, z drzeniem oczekując, czy następny dzień będzie dla nich pomyślniejszy.

O 3 godzinie rano powstał tak gwałtowny wiatr, że miotał balonem.

— Musimy oddalić się ztąd — rzekł Fergusson, — bo inaczej, kto wie, coby się z naszym balonem stać mogło.

— Ale co będzie z Józefem?

— Nie opuszczę go, a choćby nas wiatr o sto mil na północ zapędził, wrócimy, ażeby Józefa szukać. Tu jednak teraz pozostać nie możemy, gdyż grozi nam niebezpieczeństwo, że nam wiatr balon podrze.

— Ale Józef, Józef... — biadał pan Ryszard.

— Uspokój się Ryszardzie. I mnie krwawi się serce na myśl, że musimy się od niego oddalić, ale ratując siebie, ratujemy zarazem Józefa, bo gdyby balon zniszczał, wtedy i dla niego wszelka nadzieja zniknęła.

— Czyń, jak uważasz za dobre, — odparł Ryszard.

Łatwiej było jednak powiedzieć, że się chce odjechać, aniżeli to uczynić, bo kotwica tak się mocno utwierdziła, że jej nie szło zluzować. Lina od kotwicy zaś była wyprężona, a balon był, jak tęgi rumak, co się rwie do biegu. Ryszard chciał zejść na dół i kotwicę odczepić, ale Fergusson obawiał się, że skutkiem gwałtownego wiatru nie zdoła wejść znów do balonu. Nie pozostało tedy nic innego, jak przeciąć linę i stracić jednę kotwicę; dobrze, że podróżni jeszcze jednę ze sobą mieli.

Zaledwie Fergusson linę przeciął, gdy balon porwał się i skoczył niejako o 300 stóp w powietrze. Potem wiatr go porwał i gnał ku północy.

Przeciw sile wiatru nie było żadnego sposobu. Fergusson też nie usiłował wcale pokierować balonem w inną stronę. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, stał przy aparacie i czekał, co z tego będzie.

Po kilku minutach milczenia, odezwał się Ryszard:

— Pan Bóg nas karze! Taka podróż po nad siły ludzkie jest. Nie trzeba nam się było do tego porywać....

Po chwili znów dodał:

— Biedny Józef! Co się z nim dzieje? Poczciwy chłopiec poświęcił się za nas, a teraz los zawistny nie chce nam pozwolić, abyśmy mu ratunek nieśli. Co myślisz, przyjacielu, czy jest nadzieja, że będziemy mogli wrócić nad jezioro?

Fergusson wzdrygnął ramionami.

— Trudno na to pytanie odpowiedzieć — rzekł. — Ale to ci mówię, Ryszardzie, że choćbyśmy balon porzucić musieli, to wrócimy pieszo nad Czadzkie jezioro i nie zaniedbamy niczego, co do ratowania Józefa potrzebne.

— Ja będę ci wszędzie towarzyszył — odparł pan Ryszard, — możesz na mnie liczyć w każdy czas.

To postanowienie pokrzepiło ducha obu podróżników, a pokrzepienia było potrzeba, bo położenie ich było smutne; wiatr nie ustawał, balon uleciał w przeciągu trzech godzin przeszło 60 mil.

Minął kraje urodzajne i wleciał nad Saharę. Napróżno próbował Fergusson skierować go inaczej.

— Nie możemy balonu wstrzymać — biadał pan Ryszard, — nie możemy wysiąść z niego. Pod nami morze piasku, żadnego drzewa, żadnego źródła, ani trawki nie widać.

Fergusson nic nie odrzekł, tylko rękę podniósł i wskazał ku północy. Ryszard spojrzał.

Zobaczył, jak wiatr piasek pustyni w kształcie wirującej trąby w górę rzucał. W środku zaś tego zamętu widać było wielbłądy i ludzi. To karawana! Ogarnęły ją piaski dokoła i przysypywały zwolna. Po krótkiej chwili nie było już widać ani ludzi, ani zwierząt. Na miejscu, gdzie karawana stała, powstało wzgórze piaskowe... To olbrzymi grób karawany!

Obaj podróżnicy pobledli strasznie na ten widok i stali w niemem przerażeniu. A wiatr nie ustawał i zdawało się nawet, że potężnieje. Rzucał i kręcił balonem, a podróżni musieli się mocno lin trzymać, aby nie upaść. Sprzęty w łódce się znajdujące potrącały się a kisty z wodą suwały się od jednej ściany łodzi do drugiej.

Naraz balon stanął, zakręcił się gwałtownie i zaczął lecieć w przeciwnym kierunku, niż dotąd.

— Dokąd lecimy? — zapytał Ryszard.

— Bogu chwała, — odpowiedział Fergusson — wiatr zaniesie nas niezawodnie na to samo miejsce, zkąd wyjechaliśmy.

I tak się rzeczywiście stało. Balon nie leciał wprawdzie tą samą drogą, ale w tym samym kierunku. Fergusson stał przy aparacie a pan Ryszard przy brzegu łódki z dalekowidzem przy oku, wypatrując, czy się wnet jezioro Czadzkie ukaże ich oczom.

IX.

Co się działo z Józefem w tym czasie?

Gdy spadł w jezioro a następnie znów na powierzchnią wypłynął, rzucił najprzód okiem w górę ciekawy, co się z balonem stało. Zobaczył, że balon leciał w górę, ciągle w górę, stawał się w jego oczach coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie zniknął całkiem.

— Uratowani moi panowie! — tak mruknął Józef. — Prawdziwie dumny jestem z tego, że mi taka doskonała myśl do głowy przyszła. Inaczej bylibyśmy wszyscy zginęli. Gdybym się nie był pospieszył z wyskoczeniem z balonu, kto wie, czyby pan Ryszard nie był tego samego uczynił. Uprzedziłem go i kontent z tego jestem, a zarazem uważam to za rzecz całkiem naturalną, że j e d e n człowiek poświęca się, aby ratować dwóch. Nie ma nic prostszego nad to!

Gdy to rozumowanie ukończył, począł myśleć o sobie. Znajdował się w środku jeziora ogromnego, otoczonego zewsząd krajami, w których dzicy mieszkali. Jasno widział, że jeżeli się o własnych siłach i własnym dowcipem uratować nie zdoła, nikt mu do tego nie dopomoże.

Przypomniawszy sobie, że gdy z balonu przed napadem dzikich ptaków wyglądał, jakąś wyspę zobaczył, postanowił

ku niej płynąć. Nie odstraszyło go to, że wyspa kilka mil oddaloną być mogła; pomiędzy innemi bowiem sztukami, jakie umiał, był szczególnie biegły w pływaniu; sześć lub siedm mil (angielskich) płynąć nie było dla niego trudniejszą rzeczą, co wdrapać się na drzewo. Aby módz swobodniej płynąć zdjął wszystko ubranie ze siebie, które mu w pływaniu przeszkadzało, i dalej w drogę.

Na szczęście wyspa leżała bliżej, aniżeli się spodziewał. Po upływie półtorej godziny zbliżył się do niej znacznie. Wtedy przyszło mu na myśl, że nad brzegiem wysp lubią się pluskać we wodzie wielkie zwierzęta żarłoczne, zwane krokodylami.

Jakkolwiek nigdy nie tracił ducha i jakkolwiek niczemu na świecie nie lubił się dziwić, lecz owszem wszystko w najlepszym znajdować porządku, to jednak myśl o krokodylach go zaniepokoiła; zaczął się na dobre lękać o życie. Płynął jak najostrożniej, bystro w około siebie patrząc.

Naraz poczuł mocny zaduch.

— Baczność! — zamruczał. — Niebezpieczeństwo blizko, bo owe zwierzęta taki zaduch wydają. Jeżeli nie zniknę, to mnie capną, bo białe biało Europejczyka zaostrzy ich apetyt więcej, niż ciało murzyńskie. Pod wodę!

W tej chwili przepłynęło, otarłszy się o niego, łuską pokryte zwierzę. Józef dał susa w bok i płynął pod wodą co sił. Po chwili wypłynął na powierzchnię, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, i znów buch — pod wodę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Żmudzini, lud polski, mieszkają na Żmudzi. Kraina należała dawniej do Polski, teraz do Rosyi. Żmudź leży nad morzem bałtyckiem (Ostsee), od granicy pruskiej za Królewcem (Königsberg) ku Kurlandyi. Wiele tu wody i lasu. Bardzo dobre konie tu chodują, choć niewielkie. Najgłówniejszą rzeką na Żmudzi jest Niemen. Kiedy w Prusach panowali Krzyżacy (rycerze zakonni niemieccy, bardzo okrutni i chciwi), Żmudzini ciągle musieli z nimi wojny prowadzić, bo Krzyżacy chcieli ich pod swoje panowanie zabrać. Krzyżacy niemieccy okrutnie kraj pustoszyli, palili, ludzi mordowali i w niewolę zabierali, choć niby jaki układ zrobili ze Żmudzinami, to wnet słowo łamali i na nowo biednych ludzi napadali. Czasem Żmudzini dostawali się pod panowanie Krzyżaków, tem więcej, że sąsiedni Litwini nie pomagali zawsze Żmudzinom, mając sami ze sobą do czynienia. Kiedy Polacy pobili niedobrych Krzyżaków, Żmudzini połączyli się z Polską, nawrócili się do chrześciaństwa. Od tego czasu Żmudzini spokojnie żyli, a bardzo to dobry pobożny i wytrwały lud. Biskup mieszkał w Miednikach, miastem handlowym nad morzem była Połęga. Lud mówi po litewsku. Pijaństwa tu prawie nie ma. Dla tego też lud jest zamożny i gościnny. Jak wszędzie, tak i na Żmudzi lud ma swój osobny ubiór, który widzicie na obrazku (na str. 229.) Ubioru swego Żmudzini się trzymają, bo to twardy naród.

Święta rodzina. W tysiączny sposób przedstawiali malarze katoliccy świętą rodzinę. Każdemu miła własna rodzina, każdy mile wspomina lata dziecięce, które przepędził w domu rodziców, każdy mile wspomina matkę, ojca, rodzeństwo. Dobre rodziny są podstawą dobrej gminy, a dobre gminy podstawą dobrego państwa, a więc rodziny dobre podstawą całego porządku pomiędzy ludźmi. Święta rodzina jest wzorem dobrej chrześciańskiej rodziny, jako Chrystus Pan wzorem jest dla każdego człowieka. Każdy ojciec powinien być takim, jakim był święty Józef, każda matka taką, jaką była Panna Marya, każde dziecko takiem, jakiem było dzieciątko Jezus. W każdej rodzinie powinien panować taki duch, jaki panował w świętej rodzinie. Pomiędzy krewnymi tak powinno być, jak było pomiędzy świętą rodziną Józefa świętego, Najśw. Panny i Jezusa a Anną, Elżbietą, świętym Janem. Malarze dla tego tak często malowali na obrazach świętą rodzinę, aby każdy patrząc na obraz, pobudzał się do naśladowania świętej rodziny. Niechaj więc w każdym domu wisi na ścianie taki obraz, lecz niech nie wisi daremnie, tylko niech wszyscy w domu naśladują członków świętej rodziny.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Gotowanie jaj.** Gdy się jaja włożą do mocno gotującej się wody, do dostatecznej ilości, aby się gotować przez włożenie jaj nie przestała, to następującego wymagają czasu: po jednej minucie całe jeszcze jest płynne; po dwóch minutach jest białko tuż przy skorupce twarde, druga połowa trzęsąca się, biała, lecz żółtko jeszcze płynne; po trzech minutach jest białko prawie zupełnie twarde, a żółtko lekko miękkie; po czterech minutach jest białko zupełnie twarde, a żółtko na wpół ugotowane; po pięciu minutach jest całe jajko twarde. Gdy się woda przestanie na chwileczkę gotować, to się wszystko o troszeczkę opóźni i jest też mała różnica pomiędzy świeżemi a staremi jajami.

— **Lekarstwo na reumatyzm.** Dobrym środkiem na reumatyzm są kwiaty kasztanu. Zrywa się je kiedy są w pełnym rozkwicie, odejmuje ogonki i wsypawszy w butelkę, nalewa 90% spirytusem. Nalewka powinna stać przez sześć tygodni w cieniu, potem spirytus się zlewa, cedzi i miejsca bolesne naciera flanelą do czerwoności.

— **Środki ostrożności w razie wypadków na kolei.** Wagony środkowe są najmniej narażone na niebezpieczeństwo w razie wykolejenia się pociągu. Na kilka chwil przed wykolejeniem, nagłe wstrząśnienia ostrzegają o niebezpieczeństwie, wtedy trzeba podnieść nogi, ażeby uniknąć zgruchotania ich przez uderzenie o przeciwległą ławkę. We wszystkich katastrofach kolejowych najwięcej jest ran i złamań kości w nogach. Niebezpiecznie jest wyciągnąć nogi przed siebie, gdyż gwałtowne uderzenie o przeciwległą ścianę może stać się przyczyną skaleczenia lub nawet śmierci. W ogóle przytomność umysłu i zimna krew nieraz uchronią od wielkiego nieszczęścia.

— **W jaki sposób można zapobiegać krzywieniu się, wysychaniu lub karłowaceniu pni?** Odpowiedź na to pytanie dają ogrodnicy francuscy:

Umiejętne obcinanie gałęzi jedynym jest w tej mierze środkiem. Trzeba jednak zachować następujące przepisy: Nie obcinać grubych gałęzi tuż przy pniu, bo rana spowodowana przez to osłabia drzewo; wybujałe nadto gałęzie niszczyć za młodu, aby wielkich ran drzewu nie przyczyniać; jeżeli na wierzchołku pnia rosną dwie gałęzie, jedną ściąć, wówczas druga wybuja i lepiej się rozrośnie; pnie, sęki i narośle niszczyć, wygładzać potem ranę starannie; obcinając baczyć, iżby ranę od spodu tworzyć, a to dlatego, by deszcz w nią nie wsiąkał; rany opatrywać maścią z gliny, żywicy i lnianego oleju. W ten sposób chodząc około drzew, będziemy z nich mieć i korzyść większą i zachowamy im piękne kształty.

Doświadczenia z wódką.

Wiadomo, jak szkodliwie działają na zdrowie wszelkie gatunki gorzałki lub likierów, fałszowane za pomocą witryoleju. Ale i najczystsza wódka staje się też groźną trucizną, jeżeli się jej zbyt często albo za wiele używa. Jeden uczony Francuz, doktor Manian, postanowił niedawno przekonać się w sposób oczywisty, czy wódka jest na prawdę trucizną. Nie mógł, rozumie się, robić prób na ludziach, ale poradził sobie inaczej. Oto zamknął w ogromnej izbie kilkanaście psów i karmił je mięsem i chlebem, które poprzednio moczone były w spirytusie. Psy odwracały się z początku ze wstrętem od tego pokarmu i dopiero zmuszone głodem jadły go. Starsze jednak spożywały tak niewiele, że trzeba było zaniechać prób z nimi, gdyż byłyby pozdychały z wycieńczenia. Zatrzymano więc do dalszych prób tylko młodsze, u których żarłoczność przemagała wstręt do jadła. Podawano im dwa razy dziennie pokarm, do którego dolewano na każdego psa po małym kieliszeczku. Raz tylko na tydzień biedne zwierzęta dostawały jadło z mniejszym dodatkiem tej wstrętnej dla siebie zaprawy. Nawet szczenięta mające od 2 do 3 miesięcy, choć chwytały mięso z wielką żarłocznością, otrząsały je z wódki, trzymając w zębach, zanim odważyły je przełknąć. Pomimo tej ostrożności upijały się tak, że w piętnaście lub dwadzieścia minut po obiedzie zaczynały się chwiać na nogach, padały i zasypiały mocnym snem.

Po dwóch miesiącach takiej próby wszystkie psy zrobiły się bardzo niespokojne i rozdrażnione. Drżały, gdy się kto poruszył, kryły się przed ludźmi w najciemniejszy kąt izby, nie pozwalały dotknąć się siebie, a gdy się kto zmierzył na nie kijem, wydawały przeraźliwe wrzaski, choć poprzednio nigdy tego nie bywało. Potem zaczęły doznawać różnych strachów i przywidzeń. Zdawało się im, że jakiś nieprzyjaciel goni za nimi; uciekały więc jak nieprzytomne z głową po za siebie zwróconą, chwytały coś w powietrzu zębami, szczekały gwałtownie na kogoś, choć nikogo obcego nie było. Słowem był to obłęd zupełnie taki, jak u pijaków, którym się nieraz przywiduje, że jakiś niewidzialny wróg godzi na ich życie, że ktoś za nimi goni, straszy, prześladuje. Boleśnie było patrzeć na męczarnie biednych zwierząt; ale o ileż boleśniej pomyśleć, że tylu ludzi skazuje siebie dobrowolnie na takież udręczenia.

Po kilku miesiącach wszystkie psy pozdychały. Jeden zasnął w zimie pod otwartem oknem i zmarzł. Stało się z nim to samo, co z tymi pijakami, którzy wracając z szynku zimową porą, kładą się w polu na sen wieczny i nie pamiętają nawet w chwili zgonu, że mają duszę, która ich odróżnia od bydlęcia. Drugi pies dostał zapalenia płuc, które tak często przecina życie pijaków.

Trzeci zginął też w taki sposób, jak wielu ludzi, którym gorzałka rozum odebrała; uciekając w chwili obłędu przed jakiemś widziadłem, spadł ze schodów i grzbiet sobie przełamał. Inne wreszcie słabły na siłach, nędzniały, aż pozdychały z wycieńczenia, chociaż do końca dawano im obfitą strawę.

Jednocześnie z tą próbą wykonał doktor Manian drugą w innym oddziale psów, którym dawał pokarm z wódką innego rodzaju, zwaną absyntem. Tam skutek był jeszcze prędszy i straszniejszy. Nieszczęśliwe zwierzęta dostawały zawrotu głowy, drgawek, obłędu i ginęły bardzo prędko. Oprócz psów poddawano też próbom koty, króliki, szczury, świnki morskie i różne ptaki. Spirytus działał na nie również zabójczo.

Próby te dowiodły raz jeszcze, że wódka, choćby najczystsza i najlepsza, jest straszną trucizną. Staje się ona u wielu ludzi powodem pomięszania zmysłów i szaleństwa. Wszystkim zaś odbiera zdrowie, chociaż powoli, ale niezawodnie. Przytem poniża człowieka i gotuje mu nieraz śmierć haniebną. Od wódki giną nie tylko pojedyńczy ludzie, ale i całe rodziny, a nawet ludy. Ona to doprowadziła do zagłady wiele narodów, które mieszkały w Ameryce, zanim ją Europejczycy odkryli, i dziś też odbiera wszędzie i zdrowie i siły tysiącom ludzi.

Jakiż jest sposób przeciw tej truciźnie?

Z pijakami nałogowymi trudno poradzić. Niejeden wie, że topi w kieliszku nie tylko zdrowie i mienie, ale nadto dobre imię i godność człowieka, a jednak nie chce się wyrzec nałogu; chyba że Bóg go łaską swą oświeci i dopomoże podnieść się z upadku. Cóż więc począć? Oto zamiast zaprawiać dzieci do kieliszka, trzeba im od najmłodszych lat przedstawiać straszne skutki pijaństwa, wzbudzać obrzydzenie do tego nałogu, a przedewszystkiem nie dawać złego przykładu, upijając się w domu lub wracając z jarmarków w podpitym stanie.

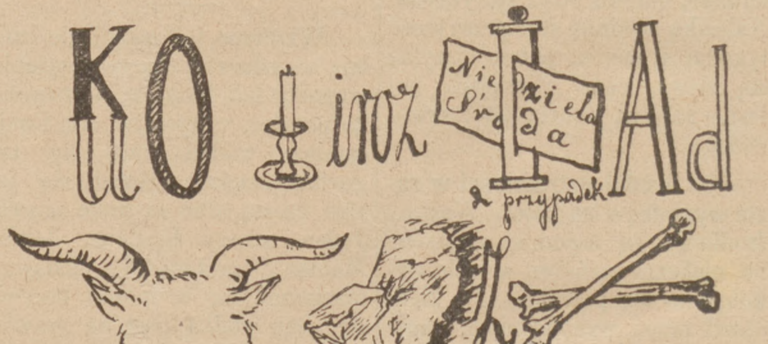
Rozwiązywanie rebusów.

Z tego, że stósunkowo mała tylko liczba abonentów »Światła« nadsyła nam rozwiązania rebusów, nabraliśmy przekonania, że wielu jeszcze nie zna istoty tego rodzaju łamigłówek. Że zaś nam chodzi o to, ażeby jak najwięcej z szanownych czytelników w chwilach wolnych od pracy zajmowało się tego rodzaju ćwiczeniem umysłu, podajemy poniżej w krótkich słowach wytłomaczenie znaczenia i rozwiązywania rebusów.

Nasamprzód, co to jest rebus? Rebus jest to sposób przedstawienia jakiego zdania za pomocą obrazków, znaków i liter. Sama jego nazwa łacińska wyraźnie już to powiada. Sposób ten nie jest wcale nowy. Za dawnych czasów, a i teraz jeszcze u ludów niewykształconych, gdzie nie znano i nie znają jeszcze sztuki pisania, porozumiewano się za pomocą zestawionych w pewnym porządku obrazków, wyobrażających znane ogólnie rzeczy, wypadki, zwierzęta i t. d. Sposób ten pisania, że tak powiemy, był najwięcej rozpowszechniony w starożytności u Egipcyan, a pismo ich, dotychczas na szczątkach z owych czasów spotykane, nazywamy hieroglifami. Różni ono się wprawdzie bardzo od nowoczesnych rebusów, w każdym razie jednak było gruntem, na którym rebusy wyrosły.

Sztuka rozwiązywania rebusów polega na tem, ażeby wynaleść dla podanych obrazków właściwe nazwanie i połączyć stósownie wraz z dołączonemi tu i owdzie literami i znakami w całość tak, ażeby powstały słowa i zdania. Pamiętać należy przytem także i o tem, że jeżeli litery, w rebusie zachodzące, nie stoją w rzędzie, jak w zwykłem piśmie, oznaczyć trzeba także ich stósunek do siebie, a litery tak pisać, jak się je wymawia. Tak n. p. znaczy: $\frac{\text{k}}{\text{rek}}$ = ka na rek czyli kanarek; $\frac{\text{po}}{\text{ra}}$ = pod po ra czyli podpora.

Najlepiej będzie zdaniem naszem, że wykażemy sposób rozwiązywania na zamieszczonym poniżej rebusie.



Widzimy nasamprzód dwie litery, z których jedna stoi pod drugą. Spróbujmy to rozwiązać wedle tego, cośmy wyżej powiedzieli. U pod ka nie daje żadnego sensu. A więc: na u ka = nauka. Już mamy zatem początek. Teraz dalej. Następuje litera O. Że zaś sama nie ma jeszcze żadnego znaczenia, należy ją połączyć z tem, co następuje — a co to jest? Oto świeca. A więc razem połączywszy, otrzymamy: oświeca. Następne litery napiszemy, jak stoją, tylko je rozdzielimy tak: i roz. Dotąd jakoś to szło, ale teraz?! I to nietrudne, tylko wypowiedzieć, co się widzi. Oto tak: na tabliczce napisano: Niedziela, Środa — co to znaczy? Znaczy po prostu dnie, a że tabliczkę wyrysowano w literze i, a więc razem: w i dnie. Pod tem dodano: 2 przypadek. Rozumie się, że to się odnosi do rzeczownika dnie, a drugi przypadek brzmi: dni. Mamy więc razem »widni;« to połączemy z poprze-

dzającą zgłoską »roz« i otrzymamy: rozwidni. Dalej stoi A d. Ponieważ nie chodzi w rebusie o to, ażeby wielkie litery oznaczały w ogóle, że się nowe słowo zaczyna, a potem, że mamy dotąd: »Nauka oświeca i rozwidni,« więc dodamy do ostatniego słowa »rozwidni« jeszcze literę »a« - rozwidnia, a literę »d« połączymy z następnem słowem. Na obrazku widna z kolei jest głowa z rogami. Że nie cała głowa, a potem że najwidoczniejsze są rogi, to nas naprowadzić winno na myśl, że tu chodzi właśnie o te rogi, tem więcej, że jeżeli złączymy »rogi« z poprzedzającą literą »d,« natenczas powstanie słowo dobre i zgodne »drogi.« Obrazek następny trochę niejasny, jakieś bryły, kamienie. Jeżeli mimo natężenia myśli nie zdołamy odgadnąć jego znaczenia, to przejdźmy do dalszych znaków, może potem i to odgadniemy. Koniec łatwy: litera »z« i »kości.« Jeżeli teraz wszystko zestawimy, powstanie takie zdanie: »Nauka oświeca i rozwidnia drogi .... zkości. Niewytłomaczone znaczenie jednego obrazka teraz się niezawodnie wyjaśni, jeżeli całe zdanie ma mieć sens jaki. Bryły te — to lód! A że przy odgadnieciu rebusów chodzi więcej o brzmienie, niż o pisownią, przeto otrzymamy ostatecznie takie zdanie słuszne, nad którem warto się zastanowić: »Nauka oświeca i rozwidnia drogi ludzkości.«

Trudności przy rozwiązywaniu rebusów są bardzo rozmaite i liczne, tak że ich szczegółowo podać nie można. Ale też nie chodziło tu tak o to, jak raczej o wyjaśnienie istoty i sposobu rozwiązywania rebusów w ogóle. Objaśnienie, jakieśmy przez odgadnięcie systematyczne załączonego rebusu podali, zdaniem naszem wystarczy, ażeby u wielu takich wzbudzić żywsze zajęcie się dla rebusów, którzy dotąd od tego rodzaju ćwiczenia umysłowego stronili.

Rozmaitości.

* **Zaćmienia.** Niedawno, bo w Maju, w Warszawie widzieć było można zaćmienie częściowe księżyca, w początkach zaś Czerwca łukowe zaćmienie słońca.

Chcąc zrozumieć te zjawiska, należy najpierw zastanowić się nad tem, co spowodować je może?

Zaćmienie księżyca powoduje zawsze ziemia, która, jak każde ciało oświetlone, pewien cień rzuca. Gdyby księżyc zawsze po jednej linii krzywej krążył koło ziemi, wówczas zaćmienie księżyca mogłoby wypadać zawsze w jednakim, z góry oznaczonym czasie, a mianowicie wtedy, gdy na jednej prostej linii znajduje się słońce, ziemia i księżyc. Dzisiaj również oznaczyć można za pomocą obliczenia, kiedy to zaćmienie nastąpi, lecz nie wypada ono peryodycznie z powodu nierównej co do czasu drogi dziennego obrotu księżyca koło ziemi. Nierówność zaś ową powoduje silniejsze lub słabsze przyciąganie przez słońce. Bo wyobraźmy sobie, co zachodzi, gdy ziemia znajduje się bliżej słońca niż księżyc. Słońce przyciąga ją tem silniej, im więcej zbliża się do niego, lecz księżyc, dalej będąc od słońca, mniej jest przyciągany, ztąd zwalnia biegu, a ziemia go wyprzedza, dopóki znów siłą obrotu księżyc nie stanie między nią a słońcem; ztąd i dla kilku innych przyczyn wyłuszczonych w astronomii bieg księżyca jest nierówny; pamiętajmy też, że ziemia okrąża słońce po linii eliptycznej, co również na zmianę zwolnienia lub przyspieszenia biegu księżyca wpłynąć musi.

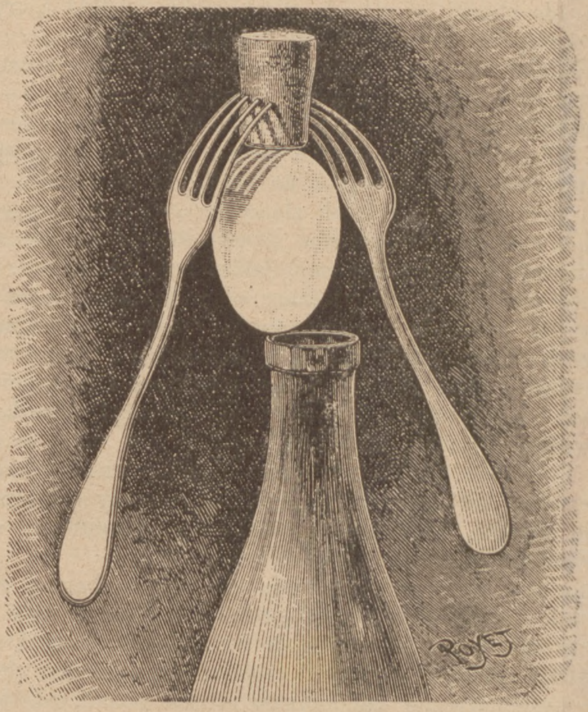
Zaćmienie księżyca przypada wtedy, gdy księżyc, znajdując się między słońcem a ziemią, na nią cień swój rzuci; zaćmienie z dnia 6 Czerwca było obrączkowe, to jest, że księżyc zasłonił tylko środek tarczy słonecznej, a wokoło widzieć było można świetlaną obrączkę. Lecz tak jak okrągły ekran, postawiony przed lampą, może zasłonić całkowicie światło lampy danej osobie, a drugiej siedzącej z boku tylko część tego światła odbierze, tak i tutaj, przy obrączkowem zaćmieniu, dane okolice ujrzą je w całości, inne zaś częściowo tylko. My widzieliśmy też tylko cząstkowe zaćmienie, nie obrączkę, lecz złoty sierp słońca.

* **Jaki pająk żywi się ptakami?** Pająk z rodziny krzyżaków, Epeira clavipes, żyjący w Indyach zachodnich i w Brazylii, przędzie sieci tak mocne, że chwytają się w nie małe ptaki. Skoro pająk spostrzeże ofiarę, wypuszcza z gruczołów przędnych wiązkę nici i owija swój łup w osłonę podobną do kokona jedwabnika. Ptak lub owad nie może się już ruszyć a pająk zadaje mu ranę śmiertelną w piersi i czeka dopóki jad nie zacznie działać. Jadowitość tego płynu jest tak wielka, że śmierć następuje w pół minuty. Sieć utkana przez pająki ma barwę żółtą.

* **Ilu jest niepełnoletnich monarchów w Europie?** Europa ma trzech małoletnich panujących: najmłodszym z nich jest Alfons król hiszpański, który liczy dopiero pieć lat, po nim idzie dziesięcioletnia królowa Niderlandów, Wilhelmina, wreszcie czternastoletni Aleksander król serbski. Król portugalski Carlos ma dopiero 27 lat, cesarz niemiecki 32, nieszczęśliwy król bawarski 43, król grecki 45, cesarz rosyjski 46, król włoski 47, sułtan turecki 48, król rumuński 52, król belgijski 56, cesarz austryacki 60, król szwedzki 62, król saski 63, król wirtemberski 68, królowa angielska 72, król duński 73. Najstarszym ze wszystkich monarchów jest papież Leon XIII, który skończył 81 lat życia.

* **Gdzie uprawiają herbatę?** Herbata zawsze dotąd nazywa się w handlu »chińską,« chociaż więcej niż połowa jej pochodzi nie z Chin, lecz z Japonii, Indyi, Ceylonu i Jawy. W Rosyi wyłącznie piją herbatę chińską, która odznacza się łagodnym smakiem; w Anglii ogólnie używają herbaty indyjskiej i cejlońskiej, ta jest cierpka i ma silny zapach. W Niemczech i Austryi mieszają razem oba te gatunki. W Holandyi piją najwięcej herbaty japońskiej. Amerykanie przekładają japońską nad

inne. Próbowano hodować herbatę na Kaukazie, w Azyi Mniejszej i Kalifornii, ale próby nie powiodły się; lepiej krzew ten przyjął się w południowej Afryce. Przyczyną zmniejszonego wywozu z Chin jest posługiwanie się wyłącznie pracą rąk przy suszeniu i zwijaniu herbaty, jak przed tysiącem lat; tymczasem w Japonii, w Indyach i na wyspie Jawie używają do tego machin, w skutek czego robota jest tańsza i dokładniejsza. O wprowadzeniu machin do Chin nie ma nawet mowy, gdyż przy znanym konserwatyzmie tego narcdu taka nowość mogłaby wywołać powstanie wśród ludności. W r. 1887 skończyło się lat 50 od zaprowadzenia hodowli herbaty w Indyach. Pierwsze 500 funtów wyprodukowanych na ziemi indyjskiej przewieziono do Anglii i sprzedano po 10 rs. funt; dziś roczna produkcya wynosi tam około 100 milionów funtów i wciąż wzrasta. Największe jednak nadzieje rokują plantacye na wyspie Ceylon. W r. 1842 padła tam zaraza na krzewy kawowe i zniszczyła je niemal doszczętnie; wtedy zaczęto sadzić na Ceylonie herbatę, ale dopiero w roku 1873 herbata ceylońska pojawiła się w handlu. Roczna produkcya wynosi tam od 53 do 55 milionów funtów. W Chinach herbata jest znana dopiero od lat tysiąca; w Japonii hodowla jej zaprowadzoną została w r. 815. Pierwsze krzewy były przywiezione z Korei.



Doświadczenie fizyczne.

Weźmy korek i wydrążmy go lekko z jednej strony tak, aby przystawał szczelnie do jajka: poczem wybierzmy dwa widelce jednakiej wagi, wbijmy je w korek, zważając, by widelce umocowane zostały jeden naprzeciw drugiego i na równej wysokości. Takim korkowym kapeluszem przykryte jajko postawić możemy na brzegu szyjki u butelki, na której ani drgnie, gdyż dwa ciężkie widelce obniżając środek ciężkości, utrzymują je w równowadze.

ŻARTY.

Bankierska dola.

Żona bankiera (z płaczem): Izak! Nasz Icek wlazł na drabinkę i spadł.

Bankier Izak: To dobrze! Icek ma zostać bankierem, więc warto, aby się od młodu do spadania przyzwyczajał.

Pijak w sądzie.

Sędzia: Bójcie się Boga człowieku! Po raz dwudziesty już spotyka was kara za to, żeście się upili.

Pijak: Coż ja winien, panie sędzio! Nie każdy ma mocną głowę do picia.

Przezorny szewc.

A.: Ale panie majstrze, bóty, któreście mi zrobili, ściskają mnie srodze.

Szewc: Z umysłu tak je zrobiłem, aby panu przypominały ciągle, że je trzeba zapłacić.

Złapał się.

Ekonom (do ludzi, przy kopaniu ziemniaków): Kto z was widział trzy bryczki, które codopiero tędy przejeżdżały?

Wojtek: Jam widział; przy pierwszej bryczce były zaprzężone dwa siwki, przy dwóch drugich gniade konie, a jeden z nich kulał.

Ekonom: Widziałeś też leśniczego nad lasem?

Wojtek: A jakże! Stał na skraju lasu dość długo i czekał na pana dziedzica.

Ekonom: A widziałeś bociany, które tu nad wami przelatywały?

Wojtek: A jakże!

Ekonom: W takim razie masz tu oto zarobek za pół dnia i idź z Panem Bogiem, bo ja nie mogę zatrudniać robotnika, który wszystko widzi przy kopaniu kartofli. Snać lichy z niego robotnik!

Treść zeszytu 15 „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.